

Było czwartkowe popołudnie i kiedy żołnierze batalionu Atlacatl dowlekli się do El Mozote, na dworze zapadał zmierzch. Zastali opustoszałe ulice. W ciągu ostatnich dwóch dni dudnienie moździerzy, trzaskające staccato broni ręcznej i ryk lotnictwa przybliżały się stopniowo, a tego ranka samoloty i śmigłowce salwadorskich sił lotniczych ostrzelały i zbombardowały tereny wokół osady, budząc przerażenie mieszkańców. „Z każdym dniem wszystko się przybliżało, wszystko robiło się coraz głośniejsze – opowiadała mi Rufina Amaya. – Aż w końcu ludzie zaczęli kryć się po domach”.

Ostrzał z powietrza ustał niedługo przed tym, jak żołnierze Atlacatl wkroczyli do osady, wiodąc cywilów, którzy ukrywali się na trasie ich przemarszu i zostali schwytani. Zmęczeni żołnierze niecierpliwie uwijali się wśród zabudowań El Mozote i walili w drzwi domów kolbami swoich M-16. „¡Salgan!” – nawoływali ze złością. – „Wyłazić! Szybko!”.

Panował półmrok. Ludzie z wahaniem stawali w progu, wystraszeni, dezorientowani, niepewni tego, co się dzieje. Wrzeszcząc i przeklinając, żołnierze wyciągnęli ich sprzed domów i popędzając kolbami karabinów, zagnali wszystkich na środek ulicy. Rufina i jej mąż Domingo Claros wyszli na zewnątrz z czworgiem dzieci: on w objęciach miał trzyletnią Martę Lilián, a przy boku dziewięcioletniego Cristina; Rufina trzymała za rękę pięcioletnią Marię Dolores, a na piersi niosła ośmiomiesięczną Marię Isabel. „Powiedzieli nam, żebyśmy położyli się na ulicy *boca abajo** i zaczęli popychać niektórych na ziemię – mówi Rufina. – Mój mąż właśnie chciał postawić małą, kiedy jakiś żołnierz pchnął go na ziemię. Ona zaczęła płakać. W tym momencie płakały już wszystkie dzieci”.

Całe miasteczko leżało w ten sposób wśród zapadających ciemności, bodaj czterysta osób, twarzami do ziemi w brudzie ulicy. Wśród zawodzenia co najmniej setki dzieci i pokrzykiwań żołnierzy – dotychczas do osady weszło ich już kilkuset – wrzawa musiała być nie do zniesienia. Żołnierze przechadzali się wzdłuż szeregów, wymierzając na prawo i lewo kopniaki i ciosy kolbami karabinów i bezustannie

zasypując leżących gradem wykrzykiwanych obelg oraz poleceń. Według sprawozdania Rufiny wyglądało to tak, że żołnierz zatrzymywał się obok jakiegoś mężczyzny lub jakiejś kobiety, kopał bezbronne ciało i warknięciem rzucał pytania: Kto jest w partyzantce? Gdzie oni są? Gdzie schowali broń?

Mieszkańcy El Mozote upierali się, że nie ma u nich partyzantów i nie wiedzą nic o partyzantach ani o ich broni. „Jak chcecie znaleźć partyzantów – zawołała płacząco jedna z kobiet, unosząc głowę znad ziemi – to idźcie tam (wykonała gest w kierunku wzgórz), za miasteczko. My tutaj nie jesteśmy żadnymi partyzantami”. To tylko bardziej rozjuszyło żołnierzy. „Sukinsyny, wszyscy jesteście kolaborantami – oznajmił jeden z oficerów. – Zapłacicie nam za tych skurwiele”.

Rufina twierdzi, że w pewnej chwili zamożny i wpływowy Marcos Díaz, który leżał na ziemi obok żony, synów i córek, uniósł głowę. „Zaczekajcie! – zaklinał. – Obiecano mi, że tutejszym ludziom nie stanie się żadna krzywda. Tamten oficer mi tak mówił”. Na to oficer z batalionu Atlacatl zaśmiał się i odpowiedział: „Nie, wszyscy musicie zapłacić. A teraz ryj na ziemię, skurwysynu” – i podniósłszy czarny bucior, pchnął głowę Marcosa Díaza z powrotem w brud ulicy.

„Byli bardzo brutalni – mówi Rufina. – Nie mogliśmy nic zrobić. Mieli broń. Musieliśmy ich słuchać”. Część żołnierzy spisywała nazwiska. Inni tymczasem przechadzali się wzdłuż szeregów i zażądawszy, by ludzie pokazywali dłonie, zrywali im z palców każdy zauważony pierścienek. Potem kazali oddać sobie biżuterię, krzyżyki i wszystko, co mogło przedstawiać jakąś wartość.

Mieszkańcy El Mozote długo leżeli na ulicy, z twarzami w pyłe, wśród szlochów dzieci. Żołnierze wrzeszczeli, przechadzali się tam i z powrotem zamaszystymi krokami, mierzyli do nich z karabinów. „Myśleliśmy, że zaraz pozabijają nas wszystkich. Że jesteśmy skazani, by zginąć tam na miejscu” – opowiada Rufina. Ostatecznie kazali im wstać. Kiedy chwiejnie gramolili się na nogi, padł szczekliwy rozkaz:

mieli wracać do domów i nie wystawiać za drzwi „nawet czubka nosa”.

* Ustami w dół (hiszp.).

